

# Custodire

Mateusz Bandurski

Śnię. Łapię wibrujące nici. Ich drzenie napęla mnie rozkoszą. Poruszam się leniwie, ale potrafię też zerwać się nagle, zrzucam wtedy całą ociężałość i przez chwilę jestem poza wszystkim, znów kreuję swój świat i unicestwiam go, zanim mrugnie okiem. Jestem potężny i dumny. Moja pajęczyna jest nieregularna, przypomina raczej strzępy powiewające beładnie na wietrze. Ale jest lepka. Och, możecie mi wierzyć jest lepka.

Sycę się tym nic-nieczuciem, tym amalgamatem samozadowolenia, które mnie otacza dzisiaj, w tych dniach zmierzchu. To wymarzone terytorium łowieckie i jak każdy drapieźnik pasę tu brzuch, trzymam się granic mojego państwa. Królestwa niewiary i pustki.

Przebudzam się.

Jestem głodny, tak bardzo głodny. Nic od dawna nie jest w stanie nasycić mnie na dłużej, tracę smak już w trakcie przeżuwania pierwszego kęsa, zmienia się w tekturową bryłę na moim języku, dławię się. Karmię więc innych.

Tak naprawdę - sen nie daje mi ukojenia, to jedynie chwile strachu, kiedy czuję się nagi i bezbronny. Każdy letarg jest dla mnie męką, budzę się wściekły i robię najgorsze rzeczy tylko po to, żeby zapomnieć o chwili, kiedy znowu zasnę. Miesza się to z uczuciem piękna i wyzwolenia, które daje mi każde przebudzenie. Ja żyję, jakkolwiek by to określić. Sen we śnie.

Dzieci nocy, wołał Dracula do wilków. Nie ma już wilków. Nie czuję ich od dawna. Moimi dziećmi nocy są wiejskie psy, które często mają przy obroży strzępy sznura z którego się zerwały. Biegają po lesie, zagryzają sarny i porywają kury. Wracają rano, z przykurczonym ogonem, mokre i pokorne, niepodobne do siebie samych z nocy. Czekaają na kopniaki i uderzenia kija, cenę ucieczki. Gina od śrutu sezonowych myśliwych, wpadają we wnyki kłusowników, zdychają w rowie potrącone przez samochody, gasną ich mądre oczy. Zdychają na nosówkę i wściekiznę, nikt we wsi ich nie szczepi. Po zmroku są inne.

Kiedy przychodzę, szczerzą zęby i cofają się, oddają mi swoją część łupu, czekając kiedy skończę. Rzucają się na padlinę i łapczywie gryzą nie spuszczać ze mnie oczu. Odchodząc czuję ich spojrzenia, zawistne i kochające. To wszystko co czuję. Nie ma już Draculi. Nie ma wilków. Jestem sam.

W lesie czekają na mnie psy, ślina cieknie im z pysków. Burki, Dżoki i Diany pokazują swoją prawdziwą naturę kiedy zgaśnie ostatnie światło w gospodarstwie, na którego błotnistym podwórzu stoi znieawidzona buda. Gryzą się, walczą, wolno formują stado. Wszystkie suki mają cieżkę kiedy nadchodzi. Noc jest pełna skowytów i niepokoju. Siadam na sosnowym pniaku i zastygam bez ruchu, wtedy dopiero podchodzą. Poszarpane uszy kładą po sobie, zaczynają machać ogonami, trącają mnie zimnymi nosami i coraz śmiej domagają się pieśczo. Patrzę na moje stado, na wyliniałe grzbiety na których widać ślady kija. Głaszczę wystające ze sparszywiająej skóry zębra, wdycham zapach sfory. Wszystkie psie pokraki i olbrzymy przeciskają się, powarkują i zlizują krew z moich rąk

Budzę się przerażony, płaczę przez chwilę. Patrzę na małe ranki na dłoniach w które śniąc wbiłem paznokcie. Wszystko wokół mnie śmierdzi strachem i wiecznością. Muszę stąd wyjść. Muszę iść do swoich psów. Nadchodzi burza. Wieś jest tylko cieniem na ścianie lasu, Księżyc przeświewla mnie na wylot, kiedy idę siwą od kurzu drogą, na której nie zostawiam śladów stóp. Srebrną tarczę przesłaniają chmury, nie możecie mnie już zobaczyć nawet przez zmrużone oczy. Zaczyna wiać, słyszę jak podmuch przeciska się przez sosny i wypada na drogę podnosząc tuman piasku. Idę, na ramiona kapią mi pierwsze ciężkie krople.

Jak zwykle czekają w lesie, znowu przytulam poblźnione łby. Nie grzmi, kilka błyskawic niemo przecina chmury. Leje za to na całego, prostymi liniami od nieba do ziemi. Czuję zapach mokrej sierści. Nina jest szczenna, pewnie to robota Rudego, pewnie jak kilka innych przy okazji. Geraldo ma kleszcza za uchem, wyjmuję go ostrożnie, kładę na języku i rozgryzam z cichym trzaskiem. Ta odrobina krwi na chwilę wyostrza mi wzrok. Józefina i Krzaczor tarzają się w deszczu. Śmieję się i wszystkie psy zaczynają machać ogonami. Wyciągam spod płaszcza mięso i rozdieram je pazurami. Każdy dostanie swój kawałek. Podchodzą po kolei i delikatnie, żeby nie skaleczyć mnie zębami, biorą swoją dolę. Różowe języki parzą mi rękę.

Budzę się spokojniejszy niż zwykle. Wychodzę i patrzę na niebo. Nie ma śladu chmur, tylko mgła z wczorajszego deszczu dogorywa w rowie. Nitki znowu drżą. Jestem głodny i sprawia mi to przyjemność. Pajęczyna wiruje.

Nie boję się już. Rosnę, płaszcz trzeszczy na ramionach. Jeszcze słabo widzę, jest trochę za jasno, ale zapach jest wystarczająco wyraźny. Na łów, myśliweczkę miły. Psy mówiły do mnie wczoraj, pamiętam dużo z tego.

Stoję w cieniu sterty słomy i cieszę się każdą chwilą. Goła żarówka oświetla tylko część stodoły; mdłe światło nie przeszkadza mi widzieć. Mam pod stopami stary kocyk w kratę, brudny i pełen sierści, pachnący gniazdem i bezpieczeństwem. Obok leżą białe igielki rozłupanej kości.

Czuję zapach krzywdy i straty. Smutek i rezygnację.

Mężczyzna tnie tarczówką sosnowe pniaki na małe kawałki, pasujące do pieca. Patrzę, cały swój czas patrzę. Widzę plamy potu na flanelowej koszuli, czuję jego ostry, żywy zapach. Kiedy schyla się po kolejny kawałek, cichutko skaczą mu na plecy i przyciskam głowę do świszczącego ostrza. Z przyjemnością zlizuję krew z jego policzka.

Psy już na mnie czekają. Siadam na pniaku, patrzę jak biegają w zabawie po polanie. Rudy wypatruje zająca, zaczyna go gonić, błyskawicznym skrzętem wyrывая się z gromady. Dopada go tuż przed krzakami jeżyn otaczających polanę. Słyszę pisk i warczenie, kiedy kilku odważniaków zaczyna walczyć z nim o truchełko. Patrzę na gryzące się psy, kiedy moją dłoń trąca zimny nos. Malaga cała ocieka wodą, w zębach trzyma zasnurowany byle jak jutowy worek. Kładzie go delikatnie na trawie i cofa się, kilka razy kiwa nieśmiało ogonem. Patrzy mi w oczy. Rozcinam sznurek i wydaję trzy utopione szczenięta, kładę je po kolei na trawie. Psy przestają walczyć, podchodzą. Rudy schyla łeb i wacha mokre bure kłębki. Pochylam się nad nimi, rozpościeram dłonie. Psy patrzą na mnie, czuję ich wzrok. Staram się, wszystko wokół gęstnieje. Strużka krwi wymyka mi się z nosa, łaskocze wykrzywioną w grymasie górną wargę. Czuję psy, moje dzieci nocy, stoją wokół i węszą. Po chwili przestają, zaciskam dłonie w pięści. Huczy mi w głowie. Jestem słaby, taki słaby... Bure kłębki leżą dalej na trawie.

Gwizdzą na Malagę, przychodzi i kładzie mi łeb na kolanach.

- Nie udało się. Nie udało się tym razem staruszko - szepczę.

Podnosi oczy, widzę i czuję jej smutek. Dzielę go razem z nią.

Patrzy na mnie i na utopione szczenięta. Węszy. Wpycha mi nos pod płaszcz. Psy podchodzą, ostrożnie, żeby nie nadepnąć na martwe, ślepe szczenięta. Śmieję się. Zaczynają machać ogonami. Odpychając mokre nosy, wyciągam mięso zawinięte w czerwoną, rozmokłą gazetę. Rozrywam je na porcje, największy kawałek dla Malagi.

Zasypiam znów tylko dlatego że wierzę. Wierzę że psy znów będą do mnie mówić.

A ja zapamiętuję coraz więcej. Staram się.

*Koniec*